

**Andrzej Zimniak "Gawędy fandomowe"
cz. 6 - Zawiany Lublin**

Andrzej Zimniak "Gawędy fandomowe" cz. 6 - Zawiany Lublin

Na Falkony do Lublina jeździłem notorycznie i z pasją, wyjeździłem ich w sumie szesnaście (licząc lubelski Polcon 2006). Tyle razy nie byłem na żadnym innym cyklicznym konwencie! Skąd to upodobanie?

Trudno jednoznacznie wskazać przyczynę, zapewne było ich kilka. Na pewno swoją rolę odegrała przyjazna i otwarta postawa organizatorów, a zwłaszcza Krzysztofa Księskiego, który zawsze był przychylny i chętnie wychodził naprzeciw moim propozycjom. Krótka i wygodna podróż z Warszawy też się liczyła, no i termin – kilka dni przed połową listopada zwykle z niczym nie kolidowało w moim kalendarzu. Uroda stromych uliczek i fantastycznych knajp starego miasta, malowniczo rozłożonego na wzgórzu, stanowiła dodatkowy atut. Te wszystkie pozytywy zostawiały w tyle konkurencję, a zatem Falkon stanowił dla mnie przez długie lata żelazny punkt konwentowego programu. Co oczywiście nie znaczy, że gdzie indziej się nie jeździło, wszak konwenty w innych miejscach też miały magię, każdy swoją. Można powiedzieć, że w dobrych latach byłem nomadem konwentowym, bo wyruszałem w fantastyczną Polskę średnio co dwa miesiące. Na pewno znajdą się lepsi, ale ja wówczas miałem jeszcze sporo innych obowiązków i zajęć. Stare porzekadło „dla chcącego nic trudnego” tłumaczę po swojemu: jak czegoś naprawdę chcesz, to i czas się znajdzie.

Wróćmy jednak do Falkonów. O pierwszym, który odbył się w 2000 roku, gdzieś przeczytałem, i zaraz napisałem do organizatorów, czy nie zaprosiliby mnie na następny. Szybko przyszła odpowiedź od Krzysztofa, że owszem, chętnie. I tak się zaczęło.

Większość Falkonów, w których uczestniczyłem, odbywała się w szacownym budynku szkolnym, zatłoczonym w trakcie imprezy do granic możliwości. Ale miało to swój urok, mimo że salki były raczej małe, a ławki odrapane i pobrudzone kredą. Choć zwykle nie odczuwałem różnicy wieku, tam, w tej lubelskiej szkole i jej labiryntach pełnych cosplay'owych strojnych dam dworu i dworzan przy szpadach oraz ciężkobrajnych rycerzy Ren, sam sobie wydawałem się trochę dziwny – taki poważny gość w marynarce, przeciskający się przez fantastycznie barwny tłumek siedemnastolatków. Kiedyś pewna młoda internautka napisała, że „Zimniak to taki starszy pan, który na konwentach opowiada ciekawe rzeczy”. Nie da się ukryć, że swoje konwentowanie zaczynałem w wieku bliskim pięćdziesiątce, bratając się z fandomitami (i -tkami) często trzykrotnie młodszymi. Jednak zazwyczaj w ogóle nie czułem tej różnicy, zresztą nie same nastolatki jeździły na konwenty. Tak czy inaczej, oba temporalne światy równoległe łączyły się w jeden i wszystko wskakiwało na swoje miejsca zawsze w momencie, w którym zaczynałem prelekcję. Wtedy byłem w swoim żywiole – stałem w roli dojrzałego belfra przed gromadką młodych słuchaczy, którzy przyszli, aby się czegoś dowiedzieć.

Z hotelu do owej konwentowej szkoły szło się przez zgiełkliwy bazar, na którym dominowały języki zza wschodnich rubieży. Ogólnie wszystko było blisko, w zasięgu małego spaceru: zakwaterowanie, centrum konwentowe i stare miasto. Pod koniec moich lubelskich peregrynacji konwent przeniesiono do hal Targów Lublin, które są zlokalizowane tuż przy dworcu kolejowym, ale niestety daleko od hoteli i starówki. Za to sale prelekcyjne są nowoczesne i wygodne. Gdzie lepiej? Nie wiem, oba rozwiązania mają plusy i minusy.

Zwykle po dotarciu na dworzec zamawiałem telefonicznie taksówkę i długo przebijaliśmy się przez potężne korki. Nie wiem, czy okolice lubelskiego Dworca Głównego nie są w popołudniowych godzinach bardziej zatłoczone niż centrum Warszawy. Tak przynajmniej dawniej bywało, choć nie przypuszczam, aby wiele się zmieniło od tamtych czasów.



Jedną z podróży na trasie Warszawa-Lublin szczególnie utkwiła mi w pamięci. Zaczęło się zupełnie normalnie: pociąg wyjechał o czasie i z dostojnym brakiem pośpiechu pokonywał niezbyt długą trasę. Tak było jednak tylko do połowy drogi, potem nagle zaczął sypać śnieg, i to coraz gęstszy. Zupełnie niespodziewanie, bo przed chwilą jeszcze było lekko szaro i umiarkowanie ciepło, jak to zwykle na początku listopada. Rozpętała się śnieżycyca, na dodatek zerwał się wiatr, ale pociąg jak stara szkapa z klapkami na oczach jednostajnie posuwał się naprzód, jakby nic się nie stało. Wreszcie jednak się stało – pociąg stanął. Stał 10 minut, pół godziny, godzinę. Gęsty śnieg wciąż sypał, tworząc zasy, dodatkowo nawiewane przez wiatr. Poszła fama, że na tory zważyło się drzewo, i trzeba poczekać na ciężki sprzęt. W końcu, po dobrych dwóch godzinach czekania, kiedy nerwówka zaczęła już przeradzać się w rezygnację, pociąg niespiesznie ruszył! Bez dalszych niespodzianek dotarliśmy do Lublina; niestety, tam czekał nas przygód ciąg dalszy. Lublin był kompletnie zawiany i zamrożony – można powiedzieć, że funkcjonowanie miasta uległo zawieszeniu. Żadna firma taksówkarska nie odpowiadała na telefony, taksówek dworcowych też nie było, nic nie kursowało. Wszędzie tylko śnieg. lód, zawieja i mróz.

Część pasażerów rozbiegła się jak myszy i gdzieś przepadła, niektórzy fandomicy, wzorem Amundsena, wyruszyli pieszo przez śniegi i lody, reszta zaś rozpaczliwie „łapała okazje”. Nie mam pojęcia, w jaki sposób po godzinie polowania, skostniały z zimna, wreszcie „złapałem” swoją. Gość wziął trzy łebki, zdążające w podobnych kierunkach, i wyruszył w trasę. Po drodze widzieliśmy obrazki jak z Apokalipsy: ustawione pod różnymi kątami ciężarówka, które zaczęły zsuwać się po lodzie ze wzniesienia, zakopane samochody, zatory. Nasz kierowca wybierał ulice z minimalną różnicą poziomów, kluczył, koła buksowały i zarzucało, ale udało mu się w końcu okrężnymi drogami rozwieźć towarzystwo. Nawet nie wziął dużo, widocznie nie chciał wyjść na cwaniaka, bardziej na ratownika. Tym oto sposobem szczęśliwie dotarłem do hotelu i na Falkon.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o udziale Falkonów w organizacji Nagrody Żuławskiego. Otóż od razu w pierwszym roku przyznawania Nagrody Krzysztof Księżki „przygarnął” konkursową Galę, czyli uroczyste wręczanie statuetek i dyplomów, wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza. Powtarzaliśmy ten casus jeszcze pięciokrotnie, czyli w latach 2008-2012. Raz nawet w antraktach przygrywała ludowa kapela o bałkańskiej proweniencji, co wypadło niezwykle sympatycznie.

Moja falkoniada zakończyła się w roku 2015 wystąpieniem pt. „Wszystkie drogi prowadzą do gwiazd”. Lublin gwiazdą (ani Rzymem) jeszcze nie jest, ale przez piętnaście lat ćwiczyłem drogę do tego urokliwego miasta, a Falkon wyjątkowo dobrze zapisał się w moim konwentowym notesie.

Andrzej Zimniak